

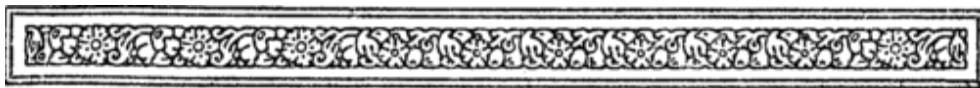
# Verte - Część pierwsza/I

**Helena Mniszek**



**Wielkopolska Księgarnia Nakładowa, Poznań, 1921**

Pobrano z Wikiźródła dnia 17 września 2024



## I

**N**a skraju ciemnego boru i rozległych pól, pogrążonych w sinawo-białym tumanie zimowego wieczoru, stało dwu jeźdźców na tęgich koniach.

Mężczyźni mieli na sobie futrzane tołuby i kołpaki, na nogach wysokie butforty. Obaj uzbrojeni byli w strzelby i rewolwery, jeden z nich miał bagnet, drugi szablę przy boku. Stali już kwadrans, milcząc. Tylko niepokoiły się konie, dzwoniąc munsztukami i prychając. Jeden z jeźdźców poklepał szyję wierzchowca dłonią w futrzanej rękawicy i zwrócił się do towarzysza.

— Wyglądamy jak pikietka kawalerji, albo jak bandyci, zaczajeni na podróźnych.

— Masz słuszność. Górska gotowa się nas przestraszyć — odrzekł drugi młodym, dźwięcznym głosem o minorowym brzmieniu.

— Wiesz co, Tomku, zróbmy kawał i nastraszmy ją, mamy po temu wszystkie warunki.

— Dajże pokój, baba jakaś egzotyczna, rozchoruje się, ataku nerwowego dostanie i co tu z nią poczniemy

— Prawda, że to jakaś wdowa. Poczóż ona przyjeżdża do Warowni?

— Zachciało się pani naszej zimy po upałach Rivieri.

— To musi być histeryczka. Jak ty ją sobie, Tomku, wyobrażasz?

— Zupełnie jej sobie nie wyobrażam, rodzice ją mało znają, wiemy tylko, że jest stryjeczną, cioteczną, czy jakąś tam siostrą ojca i że się nazywa Elża Górska z domu Burbianka.

— Elża?...

— Tak się podpisała. Ojciec mówi, że na imię jej Leontyna, dlaczego się przerobiła na Elżę, to już dla nas tajemnicą.

— Ile ona ma lat?...

— Ojciec oblicza, że pięćdziesiąt kilka.

— Phi!! To poco my tu stoimy?...

— To prawda, marznąc dla jakiejś baby. No, ale znowu narazić ją na wilki z racji jej pięćdziesiątki — to trochę... tego...

— Mogli wszak pojechać gajowi.

— A sport. Sam chciałeś, jesteśmy ochotnikami w tej wyprawie. Melu, patrz coś się czerni w oddali, prawda?

— To kępa tarnin przy drodze. W szaro-mętnej przestrzeni zdaje się, że ten punkt sunie naprzód. Złudzenie optyczne, nic więcej. Nas tu wilki opadną, zanim się baba przywlecze, a ty się spóźnisz.

— Dokąd?...

— Masz tobie. Zapomniałeś?...

— A... a!... Uprzedziłem Karolcię, że dziś zjawię się

późno.

— Zbeczy się biedactwo i będzie wyglądała brzydko z czerwonymi oczami.

— Pojadę do niej jeszcze dziś.

— Ty z nią za delikatnie postępujesz.

— Jakto, nie rozumiem?...

— No, bo z taką tam dziewczyną... ceregiele...

— Ona mnie kocha.

— To tem lepiej... i łatwiej.

— Ty tego nie pojmujesz, Melu, a to takie proste. Słyszysz... janczary, więc jednak nie myliłem się, ten punkt to sanki. Patrz...

— Prawda! Zbliżają się. Wiwat! jedzie baba. Ogromnie jestem jej ciekawy pomimo jej pięćdziesięciu lat. Zawsze trochę przywiezie z sobą tchnienia Zachodu, którego się już tak dawno nie odczuwało.

Obaj ruszyli końmi kilka kroków naprzód, do drogi, patrząc na rozbiegane czarne bachmaty, które z prychnieniem i dzwonieniem upręży nadbiegały, jak lewiatany, waląc z góry kopytami po wyślizganym torze. Ponad czarną masą końskich spasionych ciał czerniała wielka figura stangreta w kozuchu i futrzanej czapie.

Tomasz Burba poczuł jakiś szczególny dreszcz, krew napłynęła mu do mózgu gorącą falą.

— Co u diabła! — syknął.

— Co mówisz? — spytał Mel Uniewicz, lecz Burba szarpnął koniem i wyskoczył na środek drogi.

— Stój! — krzyknął donośnym głosem.

Stangret wstrzymał kłusaki. Z sanek wychyliła się

niekształtna postać okutanej w futra kobiety.

Burba zdjął czapkę i przemówił grzecznie, pochylony lekko do przybyłej.

— Jestem Tomasz Burba, a oto mój przyjaciel, Melchjor Uniewicz.

— Wielki koniuszy dworu Burbów — dodał z ukłonem przedstawiony.

— Przyjechaliśmy tu na spotkanie pani, by ją przeprowadzić przez bór, w którym zdarzają się napady wilków — dokończył Burba.

Stangret dodał uwagę od siebie.

— Dziś straszno jechać, konie czujne aż dziwno, rwą się jak odurzale i chrapią. Gromniczna tuż, to teraz najgorzej.

— Niech się szanowna pani nie lęka — rzekł Uniewicz — mamy broń i zresztą jesteśmy tu jako jej eskorta. Nie dopuścimy do wypadku.

— Bardzo mi miło powitać panów, zdumiewam się tylko nad... temi wilkami.

Alt jej głosu wywołał nowy dreszcz u Burby i szybkie spojrzenie w jej stronę. Uniewicz natomiast zanotował milczącą uwagę: Daleka od dziewiczego sopranu — głośno zaś dodał:

— Przyjechała pani do dzikiego kraju, po Rivierze odrazu... na wilki...

— Byle nie w ich paszczę.

— Ach, szanowna pani raczy być spokojną — tacy rycerze jak my...

— Pani pozwoli — odezwał się Burba, — że siądziemy na sanki, wierzchowce pójdą na przyprzążkę.

— Proszę panów.

Usunęła się na prawą stronę, przy niej siadł Uniewicz, mówiąc z przymileniem.

— Pragnąłbym teraz ucałować rączkę czcigodnej pani, jako naszej pupilki, więc o ile rączka nie nazbyt zamufowana...

— Zanadto zamufowana — brzmiała krótka, sucha odpowiedź.

— Aaa... pardon!

I Uniewicz zagryzł usta z lekkiej irytacji. Burba tymczasem pomagał stangretowi doprzęgać konie na orczyki po bokach dyszlowej pary, czwórka w obręk rwała się naprzód, strzygąc uszami.

— Czy duży ten bór? — spytała Górską.

— Pięć wiorst drogi, przecinamy go wpoprzek, — odpowiedział Burba.

— Ach, to olbrzym!

— Toż warownieckie bory, — znowu wtrącił stangret.

— A... do Warowni daleko?..

— Dziewięć wiorst.

Rozmowa umilkła. Po krótkiej chwili wszystko już było gotowe do dalszej podróży. Tomasz Burba usiadł obok stangreta, odwrócony twarzą do Górskiej. Ruszyli.

— Obejrzałeś strzelbę, Melu? Czyś aby spuścił kurki

— Cóż znowu, jestem przytomny.

— Bywasz niekiedy roztargniony.

— Nie mam powodu być nim teraz. W obecności starej kostycznej baby — dokończył w myśli.

Milczenie przedłużało się, przerwała je wreszcie Górską,

wypyując o wilki, lasy i okolicę, wciągała do rozmowy głównie Burbę.

— Czy szanowna pani długo bawiła na Rivierze? — z umyślną uniżonością pytał Uniewicz.

— Dwie zimy po kolei.

— A lato spędzała pani w Szybowie? — zagadnął Tomasz.

Długa chwila ciszy.

— Nie.

Coś jakby śmiech drgnął w jej głosie.

— Więc pani przebywała stale zagranicą? Zazdroszczę jej tego. Cóż za szczęście być ciągle w ogniskach kultury Zachodu, w świecie cywilizacji, no i wśród cudów przyrody, — egzaltował się Mel. Burba mu przerwał:

— Jeśli o to chodzi, to i Szybów jest przepiękny. Byłem tam w wieku chłopięcym z kuzynem Joachimem, który mnie zabrał ze szkół na święta wielkanocne. Ale pani przebywała wówczas na kuracji w Warszawie.

— Kto... ja?

— No... tak, więc nie miałem przyjemności jej poznać. Szybów jest z natury piękny, przytem mąż pani, ś. p. kuzyn Joachim, ogromnie podobno Szybów ucywilizował. Wspaniała rezydencja, park, budynki...

Górska zakrztusiła się suchym jakimś, nienaturalnym kaszlem.

— Masz tobie, baba astmatyczka, — mruknął Mel do siebie.

— Przeziębila się pani, — rzekł Burba.

— Nie, to już mój kaszel... chroniczny. Starość, na to i

Riviera nie pomoże.

— Szczególnie szczerą niewiastą, albo ma już sześćdziesiątkę — pomyślał pan Mel, jednocześnie zaczął z przesadną elegancją:

— Obmawia się pani.

Wtem stangret zwrócił się gwałtownie z kozła.

— Wilki... paniczu!!

Burba stanął w sankach.

— Gdzie? Widzisz ich?

— Konie tulą uszy i wspierają się na zadach, stado jest blisko.

Istotnie cała czwórka zaczęła się nagle cofać, jakby w popłochu; chrapliwy głos niby ryk wydobywał się z jej nozdrzy, grzywy i ogony ponajeżane, głowy na wygiętych szyjach pochylone w dół i nastawione, strzyżące niespokojnie uszy wskazywały na niechybne niebezpieczeństwo.

— Zatnij batem, Łukaszu, i wal całym pędem. Uważaj tylko na konie i drogę, reszta nasza rzecz! — komenderował Burba.

— Czy pan widzi wilki?.. — spytała Górka.

— Jest kilka sztuk w haszczach z lewej strony, będzie ich więcej. Baczność, Melu! wysuwają się bestje...

— Widzę.

— Szablę masz pod ręką?..

— Tak.

Burba zwrócił się gorączkowo do Górskiej.

— Niech się pani przedewszystkiem nie boi. Najwyżej proszę krzyżeć, krzyżeć z całych sił.



— Ależ pani kaszle, Tomku.

— Prawda. Zatem...

— Nic nie szkodzi, będę krzyczała, jeśli to pomaga.

— Paniczu, — napadają!

— Atakują! — zawoła? jednocześnie Uniewicz i skierował fuzję w stronę gąszczów.

Z czarnych otchłani boru wysunęło się kilka śmigłych, ciemnych ciał zwierząt i w podskokach biegło ukosem wprost na sanki.

— Jezus Marja! — krzyknęła kobieta.

— Pal!! — wrzasnął Burba.

Dwa strzały zlały się prawie z sobą; jedno ciało w skurczu śmiertelnym podskoczyło w górę i upadło cicho na śniegu. Ale z lasu jeły wysuwać się nowe bestje, sunąc szybko ku jadącym.

Rozległo się przykre nad wyraz kłańcanie zębów wilczych. Kudłate, zwinne zwierzęta atakowały konie, zabiegały z boku, z tyłu sań, a wark, szczek ich groźny mroził krew w żyłach. Stangret wygiął się w pałąk i, trzymając silnie wodze czwórki, wrzeszczał nieludzkim głosem, wpatrzony tylko w konie, czujny, uważny, snąc obyty z podobnymi napadami. Konie, jakkolwiek rwały szalonym cwałem po śliskim gościńcu, świszcząc i rycząc nozdrzami, były jednak przytomne; strzały Burby nie straszyły ich wcale. Z wciśniętymi w szyję głowami, z zębami wyszczerzonemu i dzikim płomieniem w ślepiach broniły instynktownie gardła. Burba strzelał niemal bez przerwy. Z niesłychaną szybkością i zręcznością nabijał fuzję i palił tak celnie, że trupy wilków padały dość gęsto na

białej drodze, lub też ranne z przeraźliwym skowytom wily się w konwulsjach. Uniewicz strzelał nieco rzadziej i mniej celnie, ale z równą furją, kłął przytem jak dragon i, nabijając fuzję, darł się świdrującym dyszkantem:

— Czekasz, jucho, na kulkę Uniewicza! — Hu!.. Ha!., szelmy zatracone, bij ich!.. Pal!.. Łup!..

Górska krzyczała donośnie, jakby hukając w lesie, jednocześnie podziwiała męstwo i zimną krew Burby. Drżała jednak na całym cieie, chwilami ogarniał ją lęk paniczny, zimny oblewał ją dreszcz, gdy nowe kudłate cielska wyłaniały się z boru.

— Na Boga! My się nie obronimy, — rzucała, przejęta zgrozą chwili, i tym głośniejsz zaczynała hukać:

— Ho!.. Ho!.. Hu!., hu!!.. Haaaaa!..

— Skąd u starej baby taki głos, — dziwił się Uniewicz.

— Pani do reszty już ochrypnie — przestrzegał ją ironicznie.

Nagle Górska zerwała się z siedzenia i runęła całą postacią naprzód, wprost w ramiona Burby. Przeraźliwy, obłędny krzyk wypadł z jej piersi.

Stary, ogromny wilk wskoczył z tej strony na sanki i szarpał jej futro. Burba powstrzymał ją jednym ramieniem, drugim zaś zrobił ruch gwałtowny i wilk, rażony kolbą strzelby w głowę, zwałił się z sań.

— Niech się pani uspokoi, — rzekł Burba, sadowiąc zdrętwiąłą kobietę na siedzeniu. Lecz nie dokończył zdania, gdy kilka wilków rzuciło się z przodu na konie. Burba strzelił po linii dyszla, konie skoczyły w bok i jęły ponosić.

— Trzymaj, trzymaj!.. Pal!.. bij!.. — ryczał Uniewicz.

Zacząła się walka straszna, pełna trwogi i okrutnej zaciekłości. Uczynił się zamęt, słychać było kwik koni, dziki przeraźliwy charkot bestji, który zlewał się z krzykiem Górskiej, Łukasza i Uniewicza. Nieustanne strzały i piekielne skomlenie i wycie rannych wilków potęgowało grozę chwili.

Burba nie stracił głowy, czuwał nad wszystkim, kierował obroną.

— Niech mi pan da bagnet, — zawołała Górską.

Burba podał jej broń prędkim ruchem.

— Proszę ostrożnie.

— Tomek pal!.. nowe stado!.. — wrzasnął Uniewicz.

— Piekło się na nas sprzysięgło, czy ki djabeł, naboi nie starczy, — warknął Burba wściekły.

Ze zdwojoną furją zaczął prażyć wilki, których tyle padało, że atak ich stopniowo osłabł. Już tylko pojedynczo doskakiwały do sanek, zajadłe z najeżoną szerszycią na karku i świecącymi jak latarnie ślepiami. W spienionych pyskach lyskały potężne kły, kłańcające bezustannie.

— Tych położymy, psiakrew, co do jednego!. — krzyknął Burba.

— Ja już nie mogę — jęknął Uniewicz. — Ty strzelaj, ja będę kłół.

Rzucił strzelbę, wyrwał szablę z pochwy i tuż prawie zakłół wilka, skaczącego na płozy.

— Na Uniewicza czekałeś!.. wilkołaku, poznaj jego rękę, bestjo!.. Masz!

Szabla zgrzytnęła na czaszce drugiego zwierza. Trzeci wilk ranny kulą Burby zakręcił się koło sanek i skoczył na

plecy Górskiej. Ale ona teraz nie straciła przytomności. Dała w tył mocne pchnięcie bagnetem. Ostrze ugrzęzło w ciele zwierza, ranny powtórnie zwałił się na nią całym cielskiem, rwąc pazurami futro, lecz natychmiast puścił, gdyż rażony trafną kulą Burby runął, z sanek.

— Jezus Marja! — krzyknęła Górska.

— Co się pani stało?..

— Mógł mnie pan zabić, strzela pan jak Artur...

— Jak kto?..

— Ach nic... strzela pan wybornie, kula przeleciała tuż koło mej głowy.

— Celowałem przecie do wilka.

— Proszę pani, — wtrącił Uniewicz, — Tomek potrafi kolczyk wystrzelić, nie drasnawszy ucha.

— Mel, uważaj!.. już tylko trzy. Te nasze.

Jeszcze kilka strzałów; jeden wilk rozciągnął się martwy na drodze, jeden ranny skowyczał rozpaczliwym jękiem, ostatni cofnął się do sporej gromady swych towarzyszy, biegnących w oddali po obu stronach gościńca.

— W konie teraz, w konie! — krzyknął Burba.

Odetchnął szeroko pełną piersią.

— No... szczęśliwie. Czemu, u diabła; pochodni smolnej nie zabraliśmy, blask płoszy wilki, ale atak już się nie powtórzy.

Łukasz świsnął batem i pomknęli z chyżością prawie zdwojoną.

— Doganiają nas! — krzyknęła Górska.

— Atakują na nowo, — nie ocalimy się dziś od tych bestji.

Tom, strzelaj! Niech pani krzyczy! Las rozbrzmiał nowym krzykiem, buchnęło kilka strzałów, wilki doganiały sanie, znowu złowrogie kłańcania.

— Trzeba poświęcić jednego konia z orczyka — zawołał Uniewicz, — nie obronimy się.

— Nie, nie! Za nic! — krzyknęła Górska.

— Bór zaraz się kończy; żeby na polu nie było nowych stad, tak od tych uciekniemy, pocieszał stangret.

Walka, strzelanina rozpoczęła się na nowo.

Tymczasem wypadli z boru.

Z przestrzeni rozległych, białych pól powiał na nich silny podmuch wiatru ze śniegiem i zakotłował śnieżnym pyłem, porywanym prawie z pod kopyt koni.

— Dymka się zaczyna, — źle... — mruknął Łukasz.

— Co znaczy... dymka? — spytała trwożnie Górska.

— Zawieja śnieżna.

Wilki zziajane, biegły tuż za sankami, nie ustępując pomimo strzałów z placu.

— Głodne juchy, — mówił Uniewicz, — odprowadzą nas na kolację do Warowni.

— Trzeba im jutro przysłać w nagrodę, że nas nie zjadły, kilka baranów faszcerowanych strychnią, — dodał Burba, nabijając strzelbę.

Naraz stangret zawołał:

— Paniczu, coś czerni się przed nami, jakaś gromada.

— Wilki?! — przeraziła się Górska.

— Bylibyśmy zgubieni, — rzucił Uniewicz, zaniepokojony tym razem.

Burba wyteżył wzrok.

— Istotnie, jakaś gromada sunie ostro wprost na nas... co to jest, Łukaszu?

— Czy ja wiem, paniczu, ćma taka wielka, że i nie dopatrzysz... Jakby, paniczu, wilki, broń Jezu! tak już po nas; trzeba boczne konie odprzęgać, a to nie poradzim.

— Rób to zaraz do djabła zamiast gadać, czasu brak! — krzyknął Uniewicz.

— Nie, nie, nie róbcie tego panowie, — błagała Górska i zaczęła się głośno modlić.

— Szczególna chęć poświęcenia własnej skóry zamiast końskiej, ja nie myślę ginąć dla miłości koni... — oświadczył Uniewicz.

— Czy pan zwarjował?..

— Uspokój się, Mel, — rzekł Burba. — Niech się pani nie trwoży, to nie wilki, to — ktoś jedzie. Tabun koni wali.

— A prawda, gromada jeźdźców. Któż to?

— Hej! Kto jedzie?!

Zamiast odpowiedzi z gromady buchnął wrzask tak potężny, że aż konie przy saniach szarpnęły się i przysiadły na zadach. Jednocześnie z okrzykiem tym wyskoczyły z zaćmy śnieżnej rozbuchane bachmaty, nad którymi wznosiły się machające ramiona jeźdźców, zbrojne w kije i strzelby. Zadęły rogi myśliwskie i cała ta burza z łomotem, tętentem i wrzaskiem minęła sanie i z impetem wpadła na ogłupiałe wilki.

— Bij!.. Łup!.. Wal!.. Rznij!.. — wołały głosy podniecone, a wtórował im Burba i Uniewicz z niemniejszym zapalem.

Burba zwrócił się do zdumionej Górskiej.

— To gajowi i dworscy z Warowni, ojciec ich widocznie wysłał na pomoc.

— Skądże wiedział o napadzie?..

— Domyślił się, to u nas częste wypadki w tej porze.

— Musi słyszeli strzały we dworze, — rzekł Łukasz.

— Ruszaj teraz żywo, już tam oni zapędzą wilki na koniec świata, nam czas do domu.

Hałas, wrzawa, krzyki i strzały oddalały się W stronę boru. Sanki pomknęły naprzód. Pędem minęli białe męty ośnieżonych pól, zaczerniał przed nimi drugi las i huczał basem w szalejącej już na drodze zadymce.

W sankach milczeli.

Zaledwo wjechali w las, gdy od drzew oderwało się znowu dwóch jeźdźców.

— Kto to? — krzyknął Burba.

— Swoi, z Warowni. Gajowi...

— Ach, to Stacho Domalewski. Czy i tu może być napad?

— My stąd przepędzili duże stado wilków, poszły na niedźwiedzi bróg, już nie wrócą, wystraszone, ale zawsze bezpieczniej. Panicze już pewno ustali od strzelania.

— Słyszeliście?!

— Hej, taka palba, jak w bitwie, po śniegu echo niosło. Starszy pan usłyszał pierwszy i wraz nas zwołał.

Sanki minęły gajowych; konie, wyzbyte lęku, pędziły różnym kłusem, prychając radośnie. — „Zdrów, — zdrów!” — odpowiedział im Łukasz.

— Czy tu lud mówi po polsku? — spytała Górska Burbę — bo i stangret i gajowi mają tylko akcent małosyjski?

— Cała służba dworska i leśna to polacy i katolicy, proszę

pani. Ojciec wprowadził to u siebie i utrzymuje. Wioski małorosyjskie są prawosławne i mówią swoim narzeczem — poczem rzekł swobodnie: — ale będą nam w domu radzi, konie parskają ochoczo.

— Ja tam zdrów nie jestem, ani rad, — żalił się Uniewicz.  
— Ręce mi odpadają od strzałów, głowa pęka, pssia...

— A pani jak się czuje po tej przeprawie? — pytał Burba pochylony ku Górskiej.

— Wybornie, rozpamiętywam przebytą emocję i podziwiam... pana.

— Czemuż nie mnie? — jęknął Uniewicz, — napsułem wilków nie mniej od Tomka.

— Ale się pan bardziej sfatygował.

— Aha, o to chodzi! Bo ja nie lubię walczyć bez zasady.

— Pocóż pan jechał?.. Nie było zasady.

— Ale była ciekawość. Jestem zresztą wierny Tomkowi,  
— jak żadna kobieta, więc dla towarzystwa poświęciłem siebie... i swoją strzelbą przyczyniłem się do... ocalenia pani.

— Od wilków czy od... astmy? Ha, ha!..

Uniewicz drgnął, zmieszał się; ale nie było rady — słyszała.

— Widzę, że nie tylko głos, lecz i słuch posiada pani niezwykły.

— Bajeczny, — powtórzyła.

— Hm... to szczególne.

— Zwłaszcza w moim wieku. Takie — baby wszystko już mają przytępione. Ach, jak tu pięknie! — zawołała nagle, wychylona z sanek.

— Obraziła się, jak Boga kocham, — myślał Uniewicz.



— To już Warownia... oznajmił Burba.

— Jakże tu cudownie!

Przed nimi leżała polana leśna otoczona ze wszech stron czarnym borem. Na wzgórzu, prawie pod lasem, stał wielki gmach, jakby zamczysko odwieczne, najeżone strzelnicami, z łamanym dachem. Dokoła coś jakby wał sypany i pojedynczo stojące olbrzymie wiązy. Wszystko osnute zaćmą sypiącego śniegu, tylko z wąskich, wysokich okien przebijały zmaćone światła.

— Jesteśmy w domu, — rzekł Burba.

— Jaka oryginalna rezydencja. Czy to był zamek warowny?

— Tak, kiedyś, stąd pochodzi nazwa Warowni. Ale to już dawno, zostały tylko ślady z przeszłości.

— Daj pokój!.. trąćcie tu wszyscy archaizmem, aż miło, — zaprzeczył Uniewicz. — Warownia to mauzoleum, w którym przyczaiło się polskie quattroceto i siedzi tu sobie bezkarnie, kpiąc z obecnego wieku i ludzi. Pani, jako przedstawicielka zachodu i nowoczesnej kultury, odniesie tu zapewne takie samo wrażenie.

— Skąd pan wie, może ja jestem także jakieś cinquecento.

— Hm, możliwe, ale już pewno z odrobiną renaissance'u, — spodziewam się.

— Wysiadamy! — zawołał Burba trochę niecierpliwie.

Sanki zatrzymały się pod olbrzymim gankiem, wspartym na wysokich filarach. Potężne drzwi otworzyły się szeroko, buchnął z nich strumień światła i ciepła. Wysoka postać w tołubie stanęła w progu, a na ganek wytoczył się ogromny

kudłaty niedźwiedź. Górską, wstępując na schody, cofnęła się odruchowo, lecz Burba podał jej rękę.

— Proszę się nie bać, to nasz stary Kajtuś, wierny przyjaciel.

Niedźwiedź podszedł do przybyłej, wspiął się na tylnych łapach i, wpatrując się małymi bystreimi oczkami w jej zakapturzoną twarz, liznął ją językiem po policzkach.

— Kajtuś, dość karesów!

I Burba odsunął niedźwiedzia, mrużąc go przychylnie.

— Jest już pani w Warowni legalizowana. Kajtuś — to wyrok! — zaśmiał się Uniewicz.

Wtem niedźwiedź warknął złowrogo i rzucił się z boku na Górską. Krzyknęła przerażona. Ale Burba go poskromił.

— To nic, poczuł pazury wilka.

Weszli do obszernej sieni, poprzedzani przez kozaczka w liberyjnym kozuchu.



Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Helena Mniszek](#).

# O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej [Wikiźródła](#)<sup>[1]</sup>. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: [Verte - Część pierwsza/I](#)

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 3.0 Polska](#)<sup>[2]</sup>.

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy.

[Przyłącz się do nas!](#)<sup>[3]</sup>

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na [tej stronie](#)<sup>[4]</sup>.

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Wydarty
- Arienn
- Himiltruda
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

---

1. [↑](https://pl.wikisource.org) <https://pl.wikisource.org>

2. [↑](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl) <http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl>

3. [↑](https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki) [https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze\\_kroki](https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki)

4. [↑](#)

<http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium>